



W S T Ę P

Paweł Milcarek

Wobec Kościoła wszystkich czasów

Trzydzieści i czterdzieści lat temu zostawało się tradycjonalistą po prostu dlatego, że odmawiało się zupełnie wprost i bezczelnie propozycji porzucenia z dnia na dzień tego, co jeszcze wczoraj wszyscy czcili jako najświętsze lub szanowali jako uświęcone wiarą stuleci. Dwadzieścia lat temu można było zostać tradycjonalistą już choćby ze wstrętu do tandety nazywanej przypadkowo „szlachetną prostotą” i nieuctwa traktowanego jako „oczyszczenie”, podniesionych do rangi cnót „współczesnego człowieka”. Dziesięć lat temu zostawało się tradycjonalistą wtedy, gdy się odkrywało to, co „stare”, jako absolutnie nowe, tak wyraźnie różne od świeżej „tradycji” z lat 60. i 70., i gdy się „wracało do źródeł” wbrew neoneoscholastyce Rahnera.

DZISIAJ JEST SIĘ TRADYCJONALISTĄ, gdy się wita z radością i zaangażowaniem „nowe treści” wnoszone do życia Kościoła przez Benedykta xvi — a te nowe treści to: przywrócenie starej Mszy i utradycjnienie nowego mszału, akcent na nauce Ojców Kościoła, przerzucanie pomostów do Magisterium dawniejszego niż osobista pamięć większości biskupów...

Przekroczmy teraz magiczny horyzont okresu posoborowego i spójrzmy odważnie w oczy także tej prawdzie: pięćdziesiąt lat temu było się tradycjonalistą, gdy się czuło, że co prawda elektryfikacja ołtarzy, uczone majstrowanie przy brewiarzu i „uzródławianie” teologii nie zawsze prowadzą do dobrych efektów, a przecież jednak nie wystarczy konserwować, skoro Tradycja wraz ze swymi tradycjami chce i musi postawić nowy krok, w kolejne czasy — bo jest czymś żywym i pełnym życia niezbędnego nam wszystkim; więc było się za umiarkowanymi reformami.

A potem, czterdzieści i trzydzieści lat temu... — ech, już była mowa wyżej: zostawało się tradycjonalistą po prostu dlatego, że odmawiało się zupełnie wprost i bezczelnie propozycji porzucenia z dnia na dzień tego, co jeszcze wczoraj wszyscy czcili jako najświętsze lub szanowali jako uświęcone wiarą stuleci.

Na tym w sumie krótkim odcinku pięćdziesięciu ostatnich lat widać więc dobrze, że w byciu tzw. tradycjonalistą jest coś, co się wciąż zmienia, i coś, co się powtarza. Tym, co się powtarza, jest lub być powinien moment dynamicznej ciągłości, zdolność równoczesnego objęcia synowskim pietyzmem kościelnego Ciała Pańskiego wszystkich wieków.

Umiejętność traktowania jako punkt odniesienia *Kościoła wszystkich czasów* (copyright by kard. Ratzinger) jest wyzwaniem dla wszystkich — ale czy jednak tradycjonalistom nie jest łatwiej?

Zapewne tak — o ile jakiś tradycjonalizm nie staje się archeologizmem. Pособorowa praktyka rozpoczynania dziejów Kościoła od Vaticanum II sprawiła, iż na wygnaniu z tego raju znalazły się łącznie wszystkie epoki katolickiego chrześcijaństwa od czasów Konstantyna do połowy pontyfikatu Jana XXIII — w sumie kawał bardzo zróżnicowanej historii. To wpływa do dziś na kształt zjawiska nazywanego katolickim tradycjonalizmem: wśród tzw. tradycjonalistów spotkamy niemało rzeczywistych konserwatystów, różniących się chronologicznym usytuowaniem ich „złotego wieku” — właśnie tego, w którym działo się najlepiej i który należy wbrew wszystkiemu „zachować”.

Najlepiej widać to w różnych predylekcjach liturgicznych, ale w sumie chodzi zawsze o pewien typowy dla jakiejś szczęśliwej ery schemat duchowości i instytucji. Mamy więc oczywiście konserwatystów mediewizujących, wczepionych w dziedzictwo „romańskie” i krucjatowe, czasem też w scholastykę. Mamy barokizujących „kontrreformatorów”, rozkochanych w wyzłoconej, koronkowej dewocji, upewniającej, że się nie jest protestantem. Są też konserwatyści kontrrewolucyjni, dla których główną boleścią jest „błąd demokracji” i naruszenie „ontologicznej Hierarchii”. W końcu dochodzimy też do tych tradycjonalistów, dla których ojczyzną ich umiłowań jest nowoczesny ruch liturgiczny (lub szerzej: dwudziestowieczny prąd odnowy teologii i duszpasterstwa). To ci, którzy — jak np. ks. Klaus Gamber — rozumieli potrzebę przekroczenia ideału konserwacji, ale nie traktowali jej jako legitymacji dla zerwania z tym, co im samym przekazano. W ich przypadku najbardziej kontrastowo widać różnicę, która oddziela tradycjonalizm zarówno od konserwatyizmu, jak i od progresizmu zmierzającego do swego modernistycznego spełnienia. Widać zarówno te różnice, jak i kompleks trudności, z jakimi niemal zawsze musi zmierzyć się tradycjonalizm w skomplikowanej rzeczywistości ludzkich lojalności, ambicji i słabości.

Oczywiście tradycjonalizm nie jest nigdy po prostu konserwatyzmem jakiejś epoki — choć dużą rolę odgrywa w nim swoisty konserwatyzm wszystkich epok, pragnienie zachowania Całości. Z drugiej strony także wykluczenie nawet tylko

jednego okresu, jednego ciągu doświadczeń historycznych bywa zwiastunem katastrofy, której nie przewidują także szlachetnie usposobieni reformatorzy, chcący przecież tylko „oczyścić” tradycję.

Doświadczenia późnego ruchu liturgicznego, z połowy xx wieku, są w tym zakresie bardzo pouczające: gdy tylko zdecydowano się na globalne zakwestionowanie jednej z epok nawarstwiania obrzędu — tą epoką było dojrzałe średniowiecze — uruchamia to proces instrumentalnego traktowania także dziedzictwa innych okresów. W efekcie jedna tradycja przestaje być postrzegana jako taka, natomiast na placu pozostaje konkurencja zazdrosnych konserwatyzmów poszczególnych epok, włącznie z formami tak przewrotnymi, jak konserwatyzm rzekomych „samych początków” rekonstruowanych przez uduchowionego artystę na podstawie trzech uczonych książek. Nad tym wszystkim może się już tylko unosić duch suwerena — oświeconego i absolutnego — strzegącego porządku albo przy pomocy kompromisowej mieszanki (wersja nowoczesna), albo przez ustanawianie stref wpływów oddawanych poszczególnym „wrażliwościom” (wersja postmodernistyczna).

Tymczasem jedynym rozwiązaniem katolickim jest właśnie uszanowanie Kościoła wszystkich czasów, i to właśnie nie w perspektywie właściwego historykowi szacunku do kolejno, linearnie pojawiających się kontekstów dziejowych, lecz przez objęcie na raz tej całości, w której narosły przefiltrowane składniki różnych epok. Żadna epoka nie staje się „złotym wiekiem” — ale i żadna epoka nie może zostać arbitralnie wykluczona. Swoją drogą, to ostatnie dotyczy także naszej epoki.

O to, czy taka postawa szacunku dla dziejowego „świętych obcowania” jest dziś możliwa i dopuszczalna, toczy się dziś prawdziwy spór, jeśli nie zawsze w warstwie sprecyzowanych konceptów, to zawsze w warstwie prowokowania określonych skutków przez określone postawy. Gdyby np. w kwestii liturgicznej chodziło rzeczywiście — jak to zresztą nieustannie się nam wmawia — o „ryt trydencki”, o formy do wyboru średniowieczne lub barokowe, „ubogacające” paletę rozmaitości — tacy „tradycjoniści” zostaliby przyjęci bez większego trudu do pantheonu „odnowy liturgicznej”. Zaakceptowano by ich obecność jako doceniany dziś przejaw kalejdoskopowej wielobarwności, jak wiele innych prawdziwych i zręcznie podrabianych „starożytności”. Ale jest inaczej — i także w kwestii liturgicznej idzie o znacznie wyższą stawkę. Chodzi o to, że ta rzekoma „Msza trydencka” to w naszym obrządku łacińskim jedyne realne — w warstwie liturgii — żywe uniwersum, streszczenie oddające fakt nazwany Kościołem wszystkich czasów. A zatem taka czy inna realna akceptacja dla jej obecności, to wyraziste świadectwo, że się żyje tą ciągłością, że się w niej niczemu istotnemu nie zaprzecza.

Znajdujemy się dziś w punkcie, w którym trzeba udowadniać aktualność takich świadectw całości, przeciw rzekomej niekomunikowalności i nieciągłości doświadczeń różnych czasów. To jest prawdziwe wyzwanie na dziś. Gdyby jednak przywrócenie do centrum naszego życia świadectw całości tak mocnych jak tradycyjna

liturgia stało się wreszcie faktem, oznaczałoby to oczywiście powrót na wokandę kwestii umiarkowanego rozwoju tych form, ich życiowej ewolucji. To, czy ta ewolucja była nadmiernie hamowana w erze potrydenckiej „rubrycystyki”, pozostanie zapewne przedmiotem sporów historyków (wśród których jest też przecież opinia, że precyzja rubrycystów uratowała liturgię przed inwazją barokowego metodycznego rozchełstania, oświeceniowego chłodu racjonalistycznego i późniejszych nacjonalizmów). Jednak nauki i decyzje z czasów św. Piusa X, Piusa XII i z etapu konstytucji liturgicznej Vaticanum II — niezależnie jak ocenimy dziś to czy inne posunięcie — są dostatecznie przekonującym głosem na rzecz tego, że „coś trzeba było zrobić”, „aby Bóg był uwielbiony we wszystkim”. Oczywiście, po doświadczeniach reformy posoborowej wiemy dobrze, że kontynuując tę konstatację pytanie „co i jak?” jest w istocie czymś znacznie więcej niż kwestią techniczną załatwianą przez ekspertów. W rzeczywistości jest to kwestia kluczowa.

Dzisiaj żyjemy w tym momencie historii — można powiedzieć: w tej fazie cyklu tradycji — w którym głównym wyzwaniem jest przywrócenie zdolności dziedziczenia, renesans zmysłu ciągłości i całości. To sprawia, że chwilami tradycjonalizm jest trudno odróżnić od konserwatyzmu. Jednak już niedługo — niedługo w perspektywie długiego trwania instytucji, przyspieszanego dziś logiką nowoczesnej komunikacji — możemy stanąć wraz z odbudowaną pamięcią i ciągłością wobec zespołu problemów, z którymi zmierzyl się po swojemu przedstawiciel dwudziestowiecznego ruchu liturgicznego. Już dziś niezbędny jest więc „nowy ruch liturgiczny”, omijający błędy poprzedniego — tak jak niezbędny jest w ogóle nowy prąd odnowy katolickiej, obejmujący rozsądną duszpasterską adaptację (adaptację do warunków życia, a nie ideologii epoki), ale także nurt rozwoju doktrynalnego. Także w czasach z konieczności skoncentrowanych na przywróceniu pamięci nie wolno tracić sprzed oczu przyszłościowego wymiaru tradycji.

Odkrywanie w swoich czasach wymiaru *Kościoła wszystkich czasów* nie jest kwestią rozumowej abstrakcji — lecz lojalności motywowanej wiernością. Na tej ziemi wierność *temu, co zawsze*, nie może wyrazić się bez lojalności względem określonego *teraz* naszej historii. *Kościół wszystkich czasów* to zatem nie pojęciowy abstrakt ze wszystkich słusznych encyklik i kanonów, lecz dosłownie Żywa Tradycja.